

W polskiej debacie na temat globalnego ocieplenia dominują baśnie i legendy

Przeciętny polski widz i czytelnik może się dowiedzieć z mediów, że w sprawie zmian klimatu toczy się jakaś równorzędna dyskusja między naukowcami. Że jest tyle samo argumentów "przeciw", co "za". Szczególną karierę robi tu zbitka słów "teoria globalnego ocieplenia" lub "hipoteza o zmianach klimatycznych".

Teoria i hipoteza czyli coś, co w powszechnym rozumieniu jest mało pewne i niesprawdzone. Ci, którzy uważają, że globalne ocieplenie wywołane jest przez człowieka, to członkowie jakiejś nowej religii, której papieżem jest Al Gore. Podobno na świecie jest cała masa sceptycznych naukowców zadających trudne pytania i pokazujących nieścisłości prezentowane przez klimatycznych ideologów. Takie rzeczy można przeczytać w "Polityce", "Dzienniku", "Rzeczpospolitej", "Wprost" i usłyszeć w dowolnym kanale radia czy telewizji.

Przecieram oczy ze zdumienia, bo dla kogoś, kto choć trochę otarł się o to zagadnienie, wniosek jest nieco inny: polscy dziennikarze nie wiedzą, na czym polega nowoczesna nauka. Nie radzą sobie z weryfikowaniem źródeł, z których korzystają. Powtarzają o klimacie bajki takie same jak legendy o smokach, które dla prof. Macieja Giertycha miały być dowodem na zaprzeczenie teorii ewolucji, bo jakoby świadczyły o tym, że ludzie i dinozaury żyli na ziemi w tym samym czasie.

Niestety, by to pokazać, nie muszę przegrzebywać się przez konkurencyjne media. Wystarczy mi to, co piszą w "Gazecie Wyborczej" moi redakcyjni koledzy. Na przykład Witold Gadomski. Weźmy próbkę jego tekstu "Przeciw klimatycznym zelotom", w którym Gadomski namawia, by jeszcze raz przemyśleć kwestię ocieplania się klimatu. Proszę bardzo, przemyślny. A zacznijmy od zbadania, czy dziennikarz wzywający do "przemyslenia" ma choć nikłe pojęcie o zmianach klimatycznych. Na początek fragment, który miał nas uspokajać.

- W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat klimat zmieniał się wielokrotnie. Czasami oznaczało to ocieplenie, czasami ochłodzenie. Zmiany nie wynikały z interwencji człowieka, lecz z naturalnych procesów - na przykład aktywności Słońca. Miały wpawać istotny wpływ na rozwój cywilizacji (był czas, gdy Sahara była zamieszkała przez ludy rolnicze, a Grenlandia była jeszcze w średniowieczu zieloną wyspą), lecz nie doprowadziły do zniszczenia ludzkości - pisze Gadomski.

Zielona wyspa, ale kiedy

Skojarzenie jest jednoznaczne: Grenlandia, dziś skuta lodem, była w średniowieczu jak Irlandia. Ta opowieść o Grenlandii ma służyć udowodnieniu, że kiedyś już było cieplej i ludzie sobie z tym radzili. Zajrzyjmy do naukowych publikacji, bo historia lodolodu na Grenlandii została całkiem niezłe odtworzona. Lodolód na tej wyspie zaczął się tworzyć jakieś 3 mln lat temu, a uformował się do postaci zbliżonej do tej dzisiejszej około 100 tysięcy lat temu, czyli nieco wcześniej niż w średniowieczu.

Legenda o zielonej Grenlandii to odprysk opowieści o tym, że w średniowieczu było cieplej niż teraz. Obecna wiedza każe nam to włożyć między bajki. Średnia temperatura na półkuli północnej w czasie tak zwanego optimum średniowiecznego była niższa o kilka dziesiątych stopnia niż dziś. Natomiast nazwa zielony ląd wzięła się z tego, że Eryk Rudy ścigany pod koniec X w. na Islandii i w Norwegii przysnął właśnie na Grenlandii. By zachęcić osadników do pójścia w swoje ślady, rozgłosił, że to zielona wyspa. Z rzeczywistością miało to mało wspólnego, bo stworzona przez niego społeczność utrzymywała się z handlu skórami fok i białych niedźwiedzi oraz kłami morsów. Wikingowie może mieli kilka owiec, ale teraz też się je tam wypasa. Kawałek tundry między wybrzeżem a lodolodem to chyba za mało, by Grenlandia zaślubiła na miano zielonej wyspy. Poświęcam tyle uwagi temu akurat fragmentowi, bo uważam, że jest coś niepokojącego w tym, że dziennikarz opiera się na wczesnośredniowiecznej plotce w artykule, który ma nas namówić do podejmowania poważnych decyzji w XXI wieku. Mało tego, Gadomski mógłby ją łatwo zweryfikować, gdyby sprawdził, co pisali o tym jego koledzy z działu naukowego

Nie dajcie się uwieść naukowym znachorom

Pisanie, że klimat się zmienia i że główną siłą sprawczą tego zjawiska jest Słońce, przypomina wyważanie otwartych drzwi. Wszyscy wiedzą, że klimat się zmienia. Chodzi tylko o skalę i szybkość tych zmian. Wszyscy uważają, że zmiany klimatu są zależne głównie od Słońca. I to nie tylko od jego aktywności. Klimat zależy też od kształtu orbity, po jakiej Ziemia krąży wokół Słońca, i od tego, jak jest nachylona jej oś. Naukowcy badający klimat biorą pod uwagę przede wszystkim właśnie te uwarunkowania. Jednak poza Słońcem jest jeszcze cała masa innych czynników, które wpływają na klimat, np. gazy cieplarniane, a zwłaszcza jeden z nich - dwutlenek węgla.

Szczerze polecam moim kolegom po fachu, by zanim na podstawie jakiegoś blogu, dziwacznej petycji lub niezbyt mądrej książki oskarżą naukowców z Międzyrządowego Panelu Klimatycznego ONZ (IPCC) o jakieś braki, zajrzeli na stronę www.ipcc.ch i zobaczyli, czy te zarzuty mają coś wspólnego z rzeczywistością.

Cały kłopot ze zmianami klimatycznymi polega na tym, że niewielu piszących o tym rozumie, na czym polega nauka, i daje się uwieść naukowym znachorom. Sąd wypowiedziany przez nawet najbardziej szacownego profesora to nie argument naukowy, a jedynie zwykła opinia. Dokładnie na tej samej zasadzie nie można jako źródło naukowe traktować Ala Gore'a i nikt poważnie zajmujący się klimatem tak go nie traktuje. Powoływanie się na błędy w jego książce i robienie z tego argumentu przeciw naukowej teorii jest co najmniej niepoważne.

Opinia profesora to jeszcze nie nauka

Nowoczesna nauka to system opierający się na publikowaniu wyników badań w renomowanych, recenzowanych czasopiśmie naukowych. Nie wystarczy, by profesor X powiedział, że klimat się ochładza, bo on tak sądzi. Nie wystarczy nawet, by powiedział to grono profesorów. By takie stwierdzenie zaistniało w nauce, muszą zostać w naukowym czasopiśmie opublikowane i zinterpretowane dane, na podstawie których tak się twierdzi. Muszą one przejść przez krytyczne sito recenzentów specjalizujących się w danej dziedzinie. Mało tego, taka publikacja podlega ciągłej weryfikacji poprzez system cytowań.

Nietrudno u nas znaleźć przykład niezbyt naukowej działalności naukowców. Oto mamy stanowisko Komitetu Nauk Geologicznych PAN zaprzeczające zmianom klimatycznym wywołanym przez człowieka, a w nim stwierdzenie, które ma tego dowodzić: W ciągu ostatnich 400 tys. lat - jeszcze bez udziału człowieka - zawartość CO₂ w powietrzu, jak tego

dowodzą rdzenie lodowe z Antarktydy, już czterokrotnie była podobna, a nawet wyższa od wartości obecnej.

Gdy jednak weźmiemy do ręki "Nature" i "Science" z 2005 r., dwa najbardziej renomowane magazyny naukowe na świecie, i przeczytamy publikacje dotyczące rdzeni i programu European Project for Ice Coring in Antarctica, lub zajrzemy na strony tego projektu, okaże się, że obecne stężenie jest najwyższe od 650 tys. lat. Tu tylko nieśmiało przypomnę, że nasz gatunek ma nie więcej niż 200 tys. lat i z tej perspektywy informacja o najwyższym od 650 tys. lat poziomie CO₂ powinna dać nam do myślenia.

Ale wróćmy do naszych geologów. Wyjaśnienia ich śmiałej tezy są dwa. Albo członkowie PAN dokonali odwiertów na Antarktydzie i przeprowadzili badania rdzeni, o których nikt nie wie (ta wiedza powinna zostać natychmiast opublikowana i śmiem twierdzić, że "Nature" - dla takich wyników - udostępni swoje łamy). Albo - co niestety bardziej prawdopodobne - mamy odczynienia z grupą naukowców, którzy biorą sobie dane z sufitu i, nie zapoznawszy się nawet z najbardziej podstawową literaturą, postanowili zabłysnąć w modnym temacie.

Kto za kim stoi?

Pojawia się jeszcze jeden argument. Nauka jest nierzetelna, bo za biznesem związanym z globalnym ociepleniem stoją gigantyczne pieniądze. Gadomski pisze tak: "Sceptycy kwestionujący zjawisko ocieplania się klimatu pod wpływem emisji gazów nie mogą liczyć na hojny sponsoring dla swych wydawnictw, na konferencje w atrakcyjnym miejscu świata, na udział w filmach, które z góry mają zapewnionego Oscara, na Pokojową Nagrodę Nobla."

Bądźmy jednak uczciwi. Jeżeli chcemy przedstawić globalne ocieplenie jako grę interesów, to pokażmy obydwie strony w pełnej krasie: przemysł, nazwijmy go wydobywczym, oraz żyjące z paliw kopalnych, takich jak ropa, rządy, które - mówiąc łagodnie - potrafią bardzo twardo walczyć o swoje interesy. Czy ta strona przypadkiem nie dysponuje funduszami, przy których bledną te z Nobla i handlu emisjami?

Pozwolę więc sobie odwrócić spiskową teorię i zapytać, czy to przypadek, że wydanie w Rosji książki Vaclava Klauza "Błękitna Planeta w zielonych okowach", która kwestionuje globalne ocieplenie, sponsorował koncern Łukoil? Czy to przypadek, że związana z lobby naftowym administracja prezydenta Busha ukrywała raporty amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska dotyczące globalnego ocieplenia i cenzurowała inne?

Jeżeli uświadomimy sobie, komu może zależeć na kwestionowaniu globalnego ocieplenia i sprawczej siły człowieka, a przede wszystkim, kto na tym straci, niechybnie dojdziemy do wniosku, że to raczej świetny test na rzetelność naukowych danych potwierdzających tę teorię. Gdyby nie były mocne i rzetelne, teoria globalnego ocieplenia już by nie istniała. Zbyt wielu potężnym tego świata zależy na jej wywróceniu.

Zaufajmy nauce!

Teza, że klimat może się zmieniać pod wpływem uwalnianego do atmosfery węgla, jest wałkowana przez naukowców przynajmniej od lat 60. XX wieku. Jeżeli nazwiemy to religią, to jest to chyba pierwsza religia o tak solidnych podstawach naukowych. Ten problem obracany jest i oglądany ze wszystkich stron i jak na razie nauce wychodzi, że tak właśnie podgrzewamy planetę. Wychodzi to tej samej nauce, której zawdzięczamy internet i loty w kosmos. Owszem bywa, że się myli, ale innej nauki niż ta oparta na recenzowanych publikacjach nie mamy. Nie mamy lepszego narzędzia poznawczego i nieważne, czy chodzi o raka, HIV, wiewiórki, życie pingwinów czy właśnie zmiany klimatyczne. I ta nauka nam mówi, że ocieplenie zawdzięczamy naszej działalności i że jest to jedno z najpoważniejszych (moim zdaniem najpoważniejsze) wyzwań, przed jakimi stoi ludzkość.

Możemy oczywiście sprawdzać wszystko jeszcze raz i raz jeszcze. Zaczyna to przypominać sytuację człowieka, który od wielu lekarzy dostaje diagnozę, że jest ciężko chory i pora się leczyć. Gna do znachora, który mówi mu, by się nie martwić, bo medycyna się myli i nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Jak taki człowiek skończy, nietrudno się domyślić. Mamy prosty wybór: albo ufamy nauce, albo klimatycznym znachorom.

Adam Wajrak